

Ludzie od zawsze spotykali się pod kościołami lub na jarmarkach.

Pod kościołami spotkania były nieco sztywnawe, bo to i miejsce święte, i ksiądz dobrodziej był w pobliżu. Wpadało więc być poważnym. Siłą rzeczy więc ograniczano się tylko do powitań i innych zdań grzecznościowych, a właściwe rozmowy toczono po mszach w karczmach.

Co innego jarmarki. Tam się handlowało, targowało, spotykało różnych ludzi, a przede wszystkim gadało. Z jarmarków przynoszono do domu nie tylko zakupy, ale i mnogie wieści. Nie zawsze udawało się korzystnie pohandlować, ale nowe wiadomości były zawsze.

Teraz pod kościołami raczej się już nie stoi, a po jarmarkach słuch zaginął. Gdzie zatem ludzie mają się spotykać - ot tak sobie, żeby popatrzeć na innych i zamienić parę słów - tylko w sklepach.

Nie mogą to być supermarkety ani galerie handlowe, bo w nich człowiek czuje się jak w pracy. Lista zakupów, wózek, żona, dzieci, każdy ciągnie w inną stronę - harówka. To muszą być małe, leżące po sąsiedzku sklepiki. Takie, że gdy czegoś nagle zabraknie, wtedy mówi się: „Wyskocz do... „.

Tu przewagę mają mieszkańcy wsi, bo tam przeważnie sklepy są niewielkie, ludzie się znają i chętnie rozmawiają. Mieszczuchy mają gorzej, bo u nich małe, fajne sklepy znikają, wypierane przez różne markety.

Na szczęście tam gdzie mieszkam, zostało jeszcze parę sklepików i właśnie o nich jest ta opowieść.

Zaraz naprzeciw wyjścia z bloku mam sklepik wielobranżowy. Jest w nim czysto, towary są równiutko poukładane - słowem wzorcowy sklep. Nazywa się on „Twój Market”, lecz ja nazywam go „U smutnych”. Pracują w nim bowiem cztery panie w wieku czterdzieści plus, bardzo zadbane i uprzejme, ale dziwnie czemuś smutne. Sprawnie obsługują klientów, lecz mają takie miny, jakby dopiero co wróciły z pogrzebu kogoś bliskiego. Ten ich smutek promieniuje na cały sklep i klienci też zachowują się w nim poważnie. Nie słyhać tam zwykłych pogwarek sąsiadek i nawet dzieci z sąsiadującej szkoły wpadające tam po chipsy lub colę, zachowują się bardzo grzecznie. Mimo to, jest w tym sklepie zawsze dużo ludzi, bo jest dobrze zaopatrzony.

Jest też tam lottomat i kiedyś jeden z klientów zartem zagadnął obsługującą go smutną:

– A pani nigdy nie zagrała? Może by się pani poszczęściło.

– E, nie warto, bo ja nie mam szczęścia w grze – odpowiedziała.

– O! To pewnie ma pani szczęście w miłości – powiedział klient i uśmiechnął się zalotnie.

– Tym bardziej nie – usłyszał w odpowiedzi.

W tym momencie uśmiech zniknął mu z twarzy i stał się poważny, jak na to miejsce przystało.

Nie jest to sklep, gdzie robię duże zakupy, ale korzystam z niego jak z pogotowia. Gdy nagle zabraknie soli - biegnę do smutnych, gdy padną baterie w pilocie - do smutnych. Wpadam, kupuję co trzeba i ucie-

kam, bo boję się, żeby czasem jakimś niestosownym gestem czy słowem nie naruszyć powagi tego sanktuarium smutku.

Zupełnym przeciwieństwem jest sąsiadujący ze smutnymi jarzyniak. Ma on nazwę „Mira”, ale dla mnie jest to sklep „U Krysi-Gosi”, bo pracują w nim dwie panie o tych imionach. Panuje w nim artystyczny bałagan, lecz mimo to widać, gdzie co leży i łatwo po wszystko sięgnąć. Część towarów klienci wybierają sami, a resztę podają ekspedientki. Są to kobiety w wieku smutnych, ale jakże inne: uśmiechnięte, skore do rozmowy i dowcipne.

– Proszę kilo i dwadzieścia osiem deko ziemniaków – powiedziałem żartem któregoś dnia do Gosi.

– Robi się – odpowiedziała jakby nigdy nic.

Wsyłała ziemniaki do woreczka, postawiła na wadze i zapytała:

– A kilo czterdzieści siedem może być?

– No trudno. Może – odpowiedziałem, podtrzymując przyjętą formę rozmowy

– Weź se pan jeszcze winogron. Dobre są. Spróbuj pan.

Urywałem kuleczkę i zjadłem. Była smaczna.

– Dobre. Proszę jedno gronko.

– Jedno? Weź pan dwa, żebyś się pan nie musiał wracać.

Wziąłem dwa gronka i poprosiłem o rachunek.

– Trzyście czterdzieści trzy. No, toś pan dzisiaj zaszalał – podsumowała mnie Gosia.

– No właśnie. Zaszalałem, a nie mam tyle forsy.

– Ale plastik pan masz?

– Mam.

– No to jazda – powiedziała Gosia, podsuwając mi terminal.

Takie rozmowy są w tym sklepie na porządku dziennym i dlatego zakupy tam są lekkie, łatwe i przyjemne.

Stałym „elementem dekoracyjnym” tego sklepu jest niegustownie ubierająca się, starsza pani o oszczędnej urodzie, ale o wdzięcznym imieniu Lusia. Najwyraźniej ma dużo wolnego czasu i spędza go na pogaduszka w sklepach. U smutnych sobie nie pogada, za to tutaj - jak najbardziej. Staje w kącie przy skrzynkach z jarzynami i opowiada, co będzie gotować na obiad lub dokąd to musi jeszcze pójść tego popołudnia. Ekspedientki czasem odpowiadają jej „aha”, klienci w ogóle nie zwracają na nią uwagi, ale jej to nie zraża i stoi tak godzinami. Tak już się wpasowała w wystrój sklepu, że gdy w czasie pandemii nie mogła tam stać, wyraźnie mi jej brakowało.

Niedaleko jest mały sklepik z pieczywem i słodyczami o wdzięcznej nazwie „Róża”, a króluje w nim ciekawie wyglądająca pani. Ma bujne, marchewkowe włosy, tipsy i mocny makijaż. Ubiera się w jasne ciuchy i nosi dużo biżuterii. Pewnego dnia do tego wszystkiego dodała jeszcze wytatuowane na przedramionach różyczki. Gdy pierwszy raz je zobaczyłem, byłem tak zaskoczony, że - choć nie lubię tatuaży - aż je skomplementowałem.

– Fajne są. Nie? – ucieszyła się. – A zięć ich nie lubi – dodała po chwili.

Po tym wyznaniu ze zdziwieniem skonstatowałem, że jest już teściową i od tamtego dnia jej sklepik nazywam „U teściowej”.

Teściowa skądś wie, że chodzę po górach. Ilekroć bowiem w pogodny dzień kupuję jagodziankę lub drożdżówkę, pyta, czy idę w góry. Gdy potwierdzam, uśmiecha się i mówi, że „to faaaajnie”, a gdy zaprzeczam, robi zaskoczoną minę i pyta, dlaczego. Na pewno liczy na jakieś wyjaśnienia, które mogłaby podać do publicznego obiegu, ale ja tylko odpowiadam, że „tak jakoś dzisiaj wyszło” i pozostawiam ją w nieświadomości.

Trochę dalej jest sklep mięsny „U chłopca”, który naprawdę nazywa się on „R & R”. Jego właściciel to kawał chłopca i stąd ta nazwa. Sam chłopca dowozi tylko towar, a sprzedają panie poubierane na czarno i wyglądające jak nindze.

Nie robię tam dużych zakupów, ale schabowe kupuję tylko tam. Lubię mocno rozbite, duże jak lotniskowce kotlety, a nindze przygotowują je perfekcyjnie. Tak się już do moich kotletów przyzwyczyli, że gdy kiedyś poprosiłem o wątróbkę, były bardzo zdziwione.

Mam też pod nosem niewielką aptekę obsługiwaną przez trzy drobniutkie panie. Wszystkie są bardzo fachowe, ale najlepsza z nich jest „mała doktor”. Nazywam ją tak, bo zna się na chorobach i lekach tak dobrze, że niejeden lekarz mógłby się u niej uczyć.

Jest też niedaleko kwaciarnia, której właścicielka wiecznie straszy, że ją zamknie.

– Już się nie wyrabiam – narzeka. – Wszystko coraz droższe, a ja nie mogę podnosić cen. Jeszcze z miesiąc, dwa i rzucę to wszystko.

Tak utyskując, robi piękne bukiety i zawsze żegna mnie uśmiechem.

Nigdy nie traktowałem tych narzekań poważnie, aż tu któregoś dnia na drzwiach kwaciarni zobaczyłem karteczkę: „Sklep zamknięty do odwołania”. Zrobiło mi się trochę smutno, tym bardziej że w pobliżu nie ma innej kwaciarni. Ku mojej radości gdzieś tak po miesiącu, zobaczyłem sklep otwarty i właścicielkę myjącą okno wystawowe.

– O! Jest pani – zagadnałem. – A już się martwiłem, że pani zlikwidowała sklep.

– Nie. Byłam w szpitalu, ale teraz już jestem zdrowa i wróciłam – odpowiedziała.

– To dobrze, bo brakowało tu pani.

– Miło mi i zapraszam, jak coś będzie trzeba – powiedziała, nie przerywając pracy.

Tak oto na moim osiedlu utrzymało się jeszcze kilka sklepików z duszą i mam nadzieję, że nie dożyję czasu, gdy zabiją je jakieś dyskonty, lub zostaną one zamienione na bezpłatowe Żabki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 28.05.2024 15:01

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.